Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 23.** Leszno, dnia 8. Grudnia 1838.



Ludwika z xiążąt pruskich Radziwiłłowa.

Szlachetność duszy, to prawdziwa wielkość: dowodem tego dostojna xiężna. W prywatném swem życiu pozyskała ona więcéj może prawych czcicieli, więcéj serc wielbiących i kochających ją szczerze, jak gdyby była na potężnym zasiadała tronie. Wskutek wzajemnéj skłonności połączona z xięciem Antonim Radziwiłłem, celującym świetnemi umysłu i ciała przymiotami, udała się po utworzeniu xięstwa Poznańskiego z swym dostojnym małżonkiem, namiestnikiem królewskim, na mieszkanie do Poznania. Szlachetnością duszy, niewymowną dobrocią serca i rzadką uprzejmością, w krótkim czasie zjednała sobie xiężna, miłość mieszkańców tutejszéj prowincyi, którzy z uniesieniem wszędzie ją przyjmowali. Lecz najszacowniejszym jéj pięknéj duszy przymiotem, była *dobroczynność*: iluż to biednych uszczęśliwiła? ilu podźwignęła z niedostatku? ile łez otarła! ilu karmiła i zasilała hojną jałmużną? ilu nieszczęśliwym podała sposób do życia? Świadkiem tego jest cała ludność Poznania; co mówię? cała prowincya: nie masz bowiem kącika, gdzieby dostojna xiężna nie zasłynęła jakiem dobrodziejstwem. Lecz najtrwalszym jéj imienia pomnikiem jest instytut sióstr miłosierdzia w Poznaniu, w którém teraz cierpiące ubóstwo znajduje przytułek i skorą lekarską pomoc. Dla tego też zgon jéj pogrążył całą ludność Poznania w grubéj żałobie, i wycisnął z wdzięcznych serc nie jednę łezkę prawdziwego żalu. Umarła dnia 7. Grudnia 1836 r., to jest właśnie przed dwoma laty. Szanowne jéj zwłoki przywieziono niedawno do Antonina i tam w Mauzoleum, razem z ukochanym małżonkiem spoczywają. Red. otrzymała w téj chwili od jednego z szan. obywateli M. T. opis obchodu pogrzebowego w Antoninie, który wraz z ryciną Mauzoleum w przyszłych Numerach umieści.

Wilk i skowronek.

(Gadka z okolic Rawicza.)

„Precz, precz, z twojemi pisklęty, jeśli nie chcesz, by poginęły;“ wołał ryjący środkiem zagonu kret na skowronka, który może tylko

o krok jeszcze przed nim karmił piszczące swe w gniazdku potomstwo.

„„O Boże! przyjacielu ... czyż koniecznie środkiem tego zagonu twoja droga iść musi? czyż niepodobna ci wyboczyć troszeczkę? wszakżeż tak łatwobyś to mógł uczynić, a mnie tak srogiéj nie wyrządzać krzywdy. Przyjacielu, miéj litość nad temi pisklęty.““ Tak błagał okrutnego kreta drżący ze strachu skowronek.

— „Ja nigdy z mego gościńca nie zbaczam: prosto pod twoim gniazdem ryję; więc mnie daremnie drażnisz twym piskiem: tak być musi i koniec! Żebyś jednak poznał moją sprawiedliwość, daję ci trzy dni czasu do przeniesienia na inne miejsce twoich małych; ale pamiętaj! jeśli twego gniazda na wyznaczony czas nie uprzątniesz, choćbyś się i o pół minuty tylko opóźnił; wszystko spustoszone zastaniesz: znasz moją regularność.“

I odwróciwszy się natychmiast, cofnął się rozrytym już gościńcem, zwolna ziemię nad sobą unosząc. Strwożony zaś skowronek, uleciał prawie w obłąkaniu pod niebiosa, śpiewając pisklìwie, potem znów wracał na gniazdko i znów odlatywał; aż w rozpaczy, tłukąc się po polach, po łąkach, przez dzień niemal cały, gdy słońce zachodzić miało, wpadł do zielonego gaju, piszcząc przeraźliwie.

„A, a.... ciebie co tu niesie do lasu? zapytał stroskanego przybysza wilk, co na dwóch tylnych łapach oparty siedząc, przyćmionemi nieco blaskiem zachodzącego słońca oczy, spozierał na pola, czy tam przypadkiem nie ujrzy gdzie młodego zajączka lub zbłąkanéj owieczki. Czy się chcesz nauczyć po drzewkach skakać, jak reszta twego skrzydlatego rodu? O, siedziałbyś w twoich błoniach, w których nie trudno o ziarnko dla zgłodniałego brzuszka; a tu w lesie, to nieraz długo trzeba zębami szczekać, nim się co nawinie do zaspokojenia szarpiącego wnętrzności głodu! Ja o tém najlepiéj sądzić mogę, bo już od trzech przeszło dni powietrze tylko łykam. A niechby je piorun zatrzasł takie życie! codzień to gorzéj. Jeśli więc tutaj lepszego żeru szukać przyleciałeś, moja piszczałeczko, toś się źle wybrał.“

„„Gdzie mnie tam myśleć o jedzeniu, sędziwy przyjacielu! Mam z łaski Boga tyle do strawy, że nie tylko siebie, ale i dwudziestu takich, jak ty, mógłbym używić przyjaciół; ale inna, stokroć dotkliwsza tłoczy mnie boleść, a téj mi pewnie już nikt nie odejmie.““ To rzekłszy, począł znów rzewnie kwilić. Wilk zaś mało zważając na to, myślał tylko z roskoszą o owych licznych zasobach żeru, i jakby ich dopaść. Począł więc cieszyć swego pod grządką przypadłego drobnego towarzysza.

— „Ej! cóż tam, kiedy ci tylko głód nie dokucza, to reszta fraszki. Zwierz mi się szczerze, a wszystkiemu zaradziemy; boć przecież, choćby się też i z niedźwiedziem potykać przyszło, do stu gromów! jeszcze dosyć siły czuję w sobie. No, no, już skończ, skończ te piski, a opowiadaj, bom bardzo ciekawy.“ —

Po długiem kwileniu, które nareszcie choć dosyć powolnego znudziło wilka, opowiedział skowronek całe swoje nieszczęście.

„I nic więcéj? jam myślał, że ciebie już tam jutro gdzie piec będą na rożnie, a tu tylko o poskromienie upartego kreta chodzi, ha, ha, ha! — No, ja cię wybawię z tego nieszczęścia, ale sobie trzy rzeczy wymawiam, naturalnie, że dopiero po pracy nagroda; pierwsza, żebym się najadł porządnie, druga, bym się także napił, a ostatnia, bym się téż i zabawił uczciwie!

— „„Ach przyjacielu! wszystko, nawet nad miarę ci przyrzekam.““

—„Dobrze, teraz mi pokaż, gdzie to twoje gniazdo, a potem lataj spokojnie, dopóki czas przez twego, jak go tam zowiesz, zabójcę naznaczony nie minie; poczem natychmiast mi wracaj do twoich małych, bo obronić, to ja je potrafię, ale co nakarmić zgłodniałe, tego się już niepodejmę.

W pośrodku porosłego majową trawką zagonu, zręcznie uwite, cokolwiek w ziemię wtłoczone gniazdko, zamykało pięcioro pierzących się dopiero ptaszyn. Tłoczone dwudziennym niemal głodem, niebogi z piskiem wyciągały główki, wyglądając tak długo niewidzianéj matki. Obok nich przyczajony do ziemi leżał w milczeniu stary wilk. Iskrzące się oczy jego nie trwożyły niewinnych bynajmniéj. W tém się ziemia pod ptaszynami zwolna unosić poczyna, coraz więcéj i więcéj, czują nareszcie, że się już ich gniazdo wywraca; piszczą więc przeraźliwie, gdy nagle posłyszały silne pod sobą uderzenie, którem wstrząśniony ich domek, w dawne upadł miejsce. Zamilkły z trwogi; ale w téjże saméj chwili, siadła przy nich z pokarmem tak długo oczekiwana matka.

„No, już ci on teraz więcéj szkodzić nie będzie; oto go masz tego nieprzyjaciela twego;“ ozwał się stojący obok wilk do skowronka, wskazując mu zabitego kreta, którego łapą w brózdę wygarnął. Ale teraz dotrzymaj przyrzeczenia, już mi się téż porządnie jeść chce.“

Nie posiadający się prawie z radości skowronek, nie mógł się dosyć nadziękować swemu wybawcy: „„na! pójdź, pójdź, rzecze, cokolwiek teraz zapragniesz, otrzymasz odemnie.““

„Nadto, co dawniéj, nic więcéj nie żądam; odrzekł wilk i postępował dość sporym krokiem za lecącym o cztery może łokcie nad ziemią skowronkiem.

Przybyli pod wioskę, w któréj się odbywało wesele. „„Teraz przyjacielu,““ rzekł skowronek, „„trzeba nam ostrożność zachować, żeby nas nie spostrzeżono. Tam, w tym wielkim domu obiadują weselnicy; ty się zaczaj pod okno, a uważaj, jak izba będzie próżna — tylko, na Boga, nie daj się widzieć.““

W godowéj izbie, stał stół różnemi mięsiwy zastawiony, w około niego mnóstwo gospodarzy, gospodyń, komoszek, parobczaków i dziewek zajadało smacznie; kiedy roztworzonemi drzwiami wlatuje skowronek. „A dy go, a dy go, schwytać tego ptaszka! Porwali się wszyscy, gonią, upędzają; a wilk co chwila zajrzy oknem, a ślinka z ust mu ciecze. Nie daj, nie daj, bo uciecze.“ Ptak wyleciał do sieni. Daléj wszyscy za nim. I wilk też już dłużéj nie czekając, buch oknem do chałupy, i nuż zajadać czerninę, pieczeń wołową, schab i placki; w oka mgnieniu był syty; więc powywracawszy wszystko, znów swoim wchodem wyskoczył, i w nogi mój drogi! Spostrzegłszy to baczny skowronek, wyleciał takoż dymnicą na dwór. „A dy, a dy, bo uciecze, bo uciecze. Masz tedy! nie mówiłem? nie było to zatkać téj dziury?“

Tak wołali godownicy, kiedy nasi podróżni już dawno byli w zapłotkach.

„Oj, najadłem się porządnie, ale mi się też teraz pić, pić chce okrutnie.“

„„I to będzie, tylko cierpliwość i ostrożność zalecam. Skryj się znów pod ten płot, a uważaj na drogę!““

Przejeżdża z piwem do weselników parobek. Na smyku spoczywała potężna beczka, piwem napełniona, na niéj siedział krzepkiego wieku młodzieniec, który trzymając w lewicy topór, w prawéj lejckę i bicz, leniwo ciągnącego poganiał wołu; a wygwizdywał i śpiewał ochoczo. Aż ta znagła usiądzie ptak na biczysko. Maciek sięgnie ręką, skowronek uleciał, siada na beczkę. Parobczak nie wiele myślący, jak się odsadzi, utnie toporem; ptaszek uprzedził cięcie, obręcz pękła i wszystko piwo się na drogę wylało. Nie zważa na to zapalony za ptakiem Macioś, goni go, skowronek usiadł na grzbiet wołowi, chce go schwycić, ptak znów na rogu zwierzęcia. Kiedy się tak za nim upędza, już wilk z zapłocia wyskoczywszy, dobrze się piwa nachłeptał, i dopiero gdy się już zabrał do ucieczki, postrzegł go Macioś. Wilk, wilk! począł więc wołać; chwytać go. Ale nim ludzie nadbiegli z gościńca, już ani widnąć wilka i skowronka.

„Najadłem i napiłem się do sytu,“ mówił ziający pod szeroką w polu gruszką wilk, do siedzącego obok na kamyczku skowronka, ale bym się też teraz chciał ucieszyć.“

„„Będzie i zabawa, przyjacielu, ale nam trzeba czekać do jutra.““

Strudzone wilczysko usnęło smacznie, bo też już było późno w wieczór. Skoro się na niebie pierwszy brzask ukazał, obudził go towarzysz i znów udali się w podróż. Wkrótce przybyli pod małą stodółkę, w któréj stary Tomasz z synem swym Jackiem wymłacali resztę pszenicy.

„„Teraz przyjacielu,““ rzekł skowronek, „„zaczaj się pod tę wrótnią, i patrz szparą do stodoły, a będziesz miał uciechy zadość.““

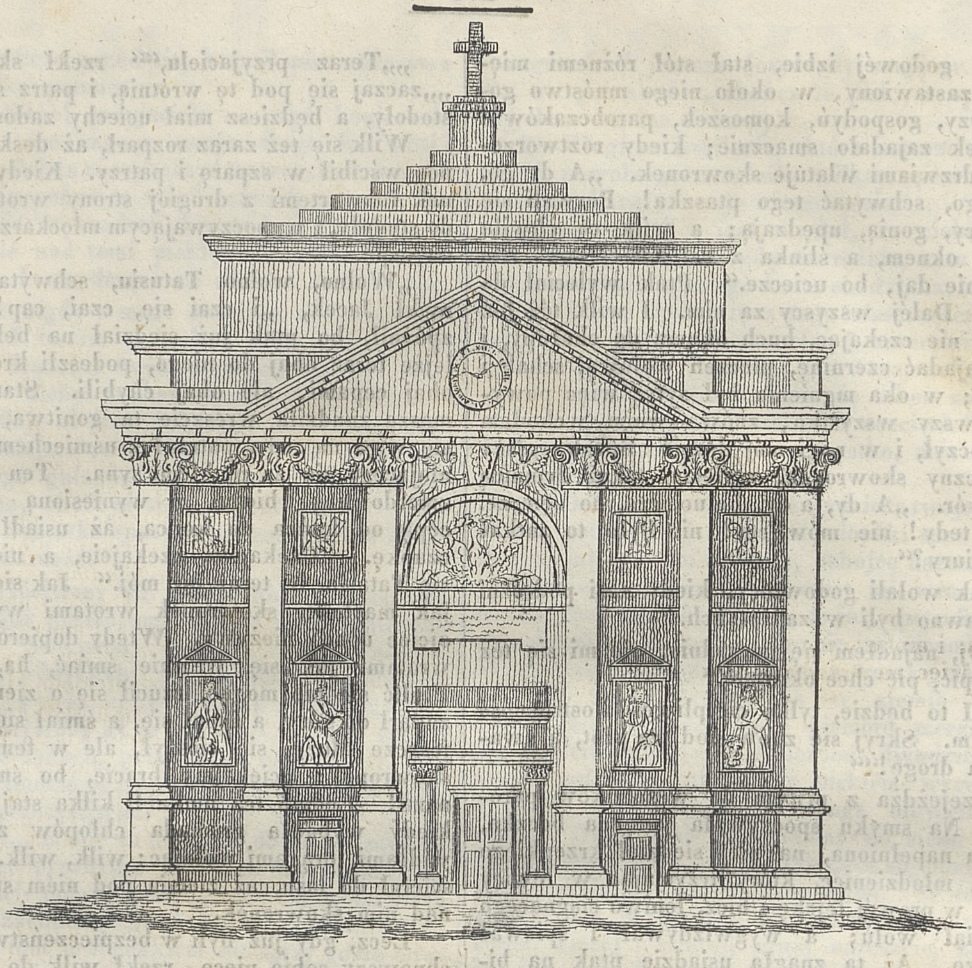
Wilk się też zaraz rozparł, aż deski trzasły, nos wścibił w szparę i patrzy. Kiedy skowronek rozwartemi z drugiéj strony wroty wpada do stodoły, i wypoczywającym młockarzom usiadł na cepę.

„Wolno, wolno Tatusiu, schwytamy go!“ rzekł Jacek, „i czai się, czai, cap! ale się zpóźnił, bo ptak już siedział na belce. Daléjże teraz obaj do niego, podeszli krok, łupną obaj cepami, ale obaj chybili. Starego Tomasza znudziła wreszcie ta gonitwa, oparłszy się więc na cepę, patrzał z uśmiechem na uganiającego się za ptakiem syna. Ten zaś niezmordowany biegał z wyniesioną do góry cepą od końca do końca, aż usiadł ojcu na czapkę. „Czekajcie, czekajcie, a nieruszajcie się Tatasiu, bo teraz już mój.“ Jak się odsadzi, jak machnie, skowronek wrotami wyleciał, a ojciec upadł nieżywy. Wtedy dopiero wilk za wrotami jak się weźmie śmiać, ha, ha, ha. Utulić się nie mogąc, rzucił się o ziemię, łapy zadarł do góry, a śmiał się, a śmiał się. Byłby jeszcze dłużéj się cieszył, ale w tem piszczał skowronek: uciekajmy bracie, bo śmierć nad nami! Ledwo też umknęli kilka staj za wieś, kiedy wypadła gromada chłopów z cepami, widłami, drągami wołając: wilk, wilk. A wilk ścierał do lasu, aż ziemia pod niém stękała; a nad nim skowronek.

Lecz, gdy już byli w bezpieczeństwie, odetchnąwszy sobie nieco, rzekł wilk do drobnego towarzysza: teraz już mam wszystkiego dosyć, braciszku, dziękuję ci serdecznie. Leć teraz sobie do twoich małych, a ja też w moją stronę się udam. Pożegnali się czule: poczem skowronek wesoło nucąc furknął w powietrze, na polu, a wilk wolno krocząc znikł wkrótce w gąszczach leszczyny. *A. B.*

Kościół OO. Bernardynów w Warszawie.

Kościół pod tytułem S. Anny wystawiony jest roku 1455 przez Annę xiężnę mazowiecką wdowę po Władysławie, xięciu Mazowieckim: dnia 4. Grudnia wyżéj wyrażonego roku w dzień S. Barbary, zostali zakonnicy z okazałą uroczystością wprowadzeni do bardzo szczupłego klasztoru, przez biskupa poznańskiego, i kościół im oddany został; kościół ten i klasztór wraz z biblioteką był później spalony, lecz w roku 1507 i 1509 został odbudowany przez Annę z Radziwiłłów żonę Konrada xięcia Mazowieckiego i Lubrańskiego biskupa Poznańskiego. Od założenia i restaurowania tego kościoła i klasztoru po spaleniu, nie jest dokładnie znany stan, tak pierwszego jak drugiego, gdyż w roku 1657, w czasie najazdu Szwedów, został znowu cał-



Kościół OO. Bernardynów w Warszawie.

kiem spalony przez tychże kościół jak i klasztór; w lat potem kilkadziesiąt był odbudowany na nowo kościół i klasztór w takim stanie, w jakim dziś zostaje, a to kosztem różnych dobrodziei. Kościół teraźniejszy co do struktury i piękności nie ustępuje żadnemu z kościołów warszawskich, co do zewnętrznego położenia od frontu, który jest na Krakowskie przedmieście, jest ozdobiony piękną facyatą, zbudowaną w roku 1788, za panowania Stanisława Augusta, nakładem Józefa Kwiecińskiego. W ścianie téj facyaty są umieszczeni czteréj ewanjelistowie, z kamienia wyrobieni, z boku czyli od strony południowéj, między kościołem i klasztorem, jest nie wielka wieża, pokryta miedzią, w któréj są dwa dzwony nie wielkie; od strony północnéj, w jednéj linii z frontem kościoła, jest wielka wieża, w któréj są dzwony dwa, największe ze wszystkich dzwonów w Warszawie będących i należą do archikonfraternii S. Anny.

Stan wewnętrzny: Cały kościół jest malowany przez Walentego Zebrowskiego, zakonnika zgromadzenia XX. Bernardynów 1753 roku; na sklepieniu jest odmalowane życie S. Anny: posadzka jest marmurową, od strony południowéj okna są z pięknego szkła lustrowego, dla tego, iż od przeciwnéj strony okna być nie mogą, gdyż klasztór przytyka do kościoła.

Kaplic jest 3: błogosławionego Ładysława z Gielniowa, matki Boskiéj loretańskiéj, i matki Boskiéj sokalskiéj. Pierwsza założona jest przez Felixa z Drobnina Krzyskę, kanclerza królestwa Polskiego, a dokończona przez Kutkowskich 1629 roku. Sukienka na błogosławionym Ładysławie jest srebrna pozłacana: ta kaplica jest malowana i ozdobiona trzema obrazami, z galeryi obrazów hrabiów Ossolińskich. Trzecia, która przedtem była bardzo szczupła, wybudowana jest większa kosztem Józefa Kwiecińskiego kanclerza, 1790 roku, która znowu została zmniejszoną, gdy z rozkazu wyższego, wzniesiona została galerya, zakrywająca nieforemną ścianę klasztoru od Krakowskiego przedmieścia.

Kaplicę dla matki Boskiéj loretańskiéj zaczęto budować w roku 1832, a skończona została w roku 1837, kosztem różnych dobrodziei, za szczególném staraniem Wielebnego xiędza Franciszka Morańskiego, kaznodziei aktualnego i promotora wszystkich bractw, i pana Jana

Zaboklickiego, Szambelana i mistrza obrzędu dworu królewskiego, kawalera orderu S. Stanisława wielkiéj wstęgi, i kawalera Maltańskiego.

X.

Cokolwiek o pierwszych biskupstwach w Polsce.

Jak za nieszczęśliwego Jana Kazimierza wojna kozacka, napady Szwedów i innych nieprzyjaznych sąsiadów, przytłumiły w Polsce nauki, już za Zygmuntów na wysokim stojące szczeblu; tak niegdyś po śmierci Mieczysława II., gdy następca Kazimierz w dalekim się ukrywał klasztorze, mordy i pożogi nieszanującéj praw klassy wieśniaczéj, zachwiały zasady co dopiero rozkrzewiającéj się nauki Chrystusa. Zniszczone świątynie pańskie, pomordowani xięża, nietylko niemogli być obrońcami nowéj wiary; ale też razem z nimi, zaginęła tradycya dziejów kościoła, i erekcya pierwszych biskupstw w Polsce. Aby więc na przedmiot ten jakiekolwiek rzucić światło, sądzę, iż wypada nam zastanowić się cokolwiek, nad tychże biskupstw założeniem.

Upowszechnione nieledwie jest to zdanie, iż Mieczysław I. wprowadzając religią chrześciańską do Polski, ufundował dziewięć biskupstw po znaczniejszych swego państwa miastach, jak n. p. w Gnieźnie, Krakowie, Poznaniu, Kruszwicy i t. d. Postrzegłem, iż wielu w najnowszych nawet czasach w tym przedmiocie piszących, zdaniu temu, całkiem błędnemu uwieść się dali. Czasy te, za nadto od nas oddalone, a ztąd głęboką pokryte zasłoną, nie postawiają mnie wprawdzie w możności, abym niemylnie w téj mierze mógł wyrokować; lecz zgłębienie źródeł historycznych podaje mi tę myśl, iż żadnéj w Polsce nie mamy katedry, którąby królowi temu początki swe zawdzięczać miała. Mieczysław I. wstępując w śluby małżeńskie z Dąbrowką, xiężniczką czeską, był nawrócony do wiary, z namowy téjże pani, a bardziéj jeszcze za staraniem Jordana, biskupa poznańskiego, która katedra jeszcze przed Mieczysławem, przez Ottona I. cesarza założona była. Ze światłem nowéj wiary wnijść musieli do kraju także duchowni, którzyby lud nauczali, i nowe wyznanie rozszerzali: musiano także budować kościoły, te jednakże, jak dawniéj w Niemczech, tak i w późniéj nawróconéj słowiańszczyznie, nosiły początkowo tylko nazwiska probostw (praepositurae), nim je późniéj po większych miastach, z wzmagającem się Chrześciaństwem, na biskupstwa zamieniono. Tak Dytmar i inni za nim, opisując te czasy, kiedy Otton I. ufundował Metropolią magdeburską, i przyłączył do niéj niektóre kościoły już ufundowane, mówi: że cesarz kazał wyświęcać im proboszczów na biskupstwa, i tychże nazywa pastor ecclesiae Merseburgensis, provisor ecclesiae Misnensis, custos Havelbergensis ecclesiae. Tych probostw mamy ślad i w Polsce: przypiśnik Kadłubka, który żył za Kazimierza W., objaśniając tego historyka, mówi o Mieczysławie I., iż przełożeństwo nad kościołem w Krakowie oddał Jordanowi biskupowi, jeszcze nie Poznańskiemu, ale pod ogólnem nazwiskiem polskiemu, aby ten powszechny, świeżo dopiero założonéj owczarni Chrystusowéj pasterz, sam go tymczasowie, w niedostatku jeszcze duchowieństwa, sprawował pod imieniem proboszcza. Z tego więc, co się dotąd mówiło, wynika: iż w Polsce przez długi czas były kościoły, nim niektóre z nich na biskupstwa zamieniono; że Jordan, jako apostoł polski, był początkowo naczelnikiem duchowieństwa w całéj Polsce, i ztąd nosił nazwisko nie biskupa poznańskiego, gdzie zamieszkiwał, lecz ogólne biskupa Polskiego, tak jak Chrystyan, biskup Chełmiński, nazwisko Pruskiego, nim kraj ten na cztery dyecezye, to jest Chełmińską, Warmińską, Pomerańską i Sambieńską podzielono. Kiedy zaś probostwa te w Polsce na biskupstwa zamieniono, i tego dojść nie trudno. Fundacya biskupstw była w ówczas dowodem w panujących, xiążąt najwyższéj i udzielnéj władzy. Przywłaszczali ją sobie cesarze, osobliwie w słowiańszczyznie, do któréj ciągle rościli prawa, przyłączając nowo nawrócone zaodrzańskie kraje do Metropoli magdeburskiéj. Mieczysław I., którego Dytmar Merseburski znał osobiście, i o którym mówi, iż z takim był szacunkiem dla Ottona I., iż nawet przed margrabiami cesarskimi, usieść nie śmiał, niebyłby zapewne sobie przywłaszczał praw, które wyłącznie tylko samym cesarzom służyć miały. I że tego istotnie nie uczynił, mamy oczywisty dowód w historykach naszych. Kadłubek, najdawniejszy z nich w edycyi lipskiéj, przypisuje Bolesławowi Chrobremu ufundowanie dwóch Metropolii, bez wyrażenia, jakich i jakie im poddał dyecezye. Tenże w edycyi gdańskiéj, zakłada jednę z tych Metropolii w Gnieźnie, drugą w Krakowie. Bogufał, biskup Poznański, nie wzmiankuje o żadnéj Metropolii, marząc tylko w ogólności, że Bolesław ufundował sześć katedralnych kościołów, najpierwszy poznański, potem Gnieźnieński, daléj Mazowiecki, czwarty zaś w liczbie krakowski. Toż samo co do słowa potwierdza bezimienny przypiśnik Kadłubka. Anonim, także kronikarz XIV. wieku, w tomie I. zbioru Sommersberga, to tylko powiada, że Bolesław wiele zbudował kościołów i biskupów postanowił, że ufundował Metropolią gnieźnieńską, poddając jéj wielu suffraganów. Lubo więc są cokolwiek różne zdania kronikarzy naszych, w tém się jednakowo całkiem z sobą zgadzają, iż Mieczysław I. żadnego biskupstwa nie założył, co potwierdza i Gallus, przed Kadłubkiem jeszcze żyjący. Pierwszy dopiero Długosz utworzył sobie hierarchią kościelną w Polsce, od czasów Mieczysława I., to

jest od wprowadzenia wiary świętéj do Polski, tę podzielił na dwie metropolie, gnieźnieńską i krakowską, i bez żadnych dowodów wprowadził nową bajkę, podobną do téj, jaką nas wprzód obdarzył Bogufał o trzech braciach Lechu, Czechu i Rusie. Zdaniu Długosza uwierzyli niektórzy nasi historycy całkiem, jak Miechowita i Bielski, inni z większą rozwagą, jak Kromer. Nieledwie ci sami historycy także, którzy nie przyznają Mieczysławowi I. fundacyi biskupstw, przeciągają, lubo mylnie, życie tegoż króla, aż do r. 999. W roku zaś następnym przybył Otton III. cesarz do Gniezna, dla odwiedzenia grobu ś. Wojciecha, i był przyjmowanym przez Ungera, biskupa Polskiego (Poznańskiego) w czém nowy dowód, że jeszcze żadnych innych biskupstw prócz poznańskiego w Polsce nie było. Rok tedy ów tysiączny można śmiało uważać, jako ten, w którym katedry nasze początek swój wzięły. Czas ten uważał Bolesław Chrobry za najdogodniejszy, aby państwo swoje od wszelkich, nawet duchownych, z Niemcami oddalił związków. Czyli zatem cesarza powodowała umowa jaka z Bolesławem zawarta, czyli też niechęć tajemna ku Gizelcharowi, arcybiskupowi magdeburskiemu, a zarazem metropolicie wszystkich słowiańskich kościołów, aby władzę jego umniejszyć, najprędzéj zaś, iż Otton ujrzał w Polsce religią chrześciańską szeroko rozgałęzioną, dość na tem, iż tenże wyniósł kościół gnieźnieński na godność arcybiskupią i metropolitalną, mianował arcybiskupem Radzyna czyli Gaudencyusza, towarzysza Ś. Wojciecha, a trzech innych biskupów zapewne wtenczas także nowo fundowanych, to jest Kolbergskiego, Kruszwickiego i Krakowskiego, pod władzę jego poddał. Zdaje się, iż biskup Poznański czuł się być przeto obrażonym; bo dopiero późniéj metropolicie gnieźnieńskiemu się poddał. *E. K.*

Szynka cesarska.

(Z powieści naocznego świadka.)

Pamiętny jest odwrót wójsk francuzkich w końcu roku 1812. Mróz, głód, niedostatek, nędza, oto jego opis cały. Magazynów wcześnie zabrakło; każdy przeto żołnierz był przymuszony, starać się sam dla siebie o żywność i zabierać ją z wiosek, rzadko tylko po tamtym kraju rozsianych, i przez pochód poprzedzający dosyć już podniszczonych. Wiadomo bowiem, iż ta ogromna, i mieczem ludzkim do owéj chwili niepokonana armia, tym samym powiększéj części wracała torem, którym w głąb Rossyi wtargnęła. Nie dziw tedy, że w takich okolicznościach, nawet dla samego wodza trudno było o posiłek, i jemu zapewne nieraz bardzo pożądany, gdy na czele swych wąsalów (gwardyi) dając z siebie przykład, pieszo przebywał niezmierzone śniegu pustynie. Razu pewnego, po całodziennym tak utrudzającym marszu, sztab główny stanął na nocleg — pod gołem niebem: wioseczka bowiem dla niego na kwatery przeznaczona, tylko na mappie się znajdowała; w miejscu zaś jéj było zgorzelisko. Każdy rzucił się na sterczące ze śniegu ułomki, szukając w nich drzewa na opał lub na ochronę od mroźnego wiatru. Cesarz i jego bliżsi towarzysze, pomieścili się pomiędzy niedogorzałemi ścianami. Niedaleko téj wygodnéj kwatery, kucharz cesarski rozniecił ogień, zawiesił nad nim kocieł, śniegu pełen, i wpuścił dwie piękne szynki, zawiązawszy je wprzód, zwyczajem francuzkim, w serwetę. Były one zapewne zdobyczą, kupioną od jakiego żółnierza, za kawał chleba lub miarkę wódki. Pożeraliśmy wzrokiem owe szyneczki, stojąc opodal, i grzejąc się nad ogniem, u którego na nieszczęście nic się jeszcze niegotowało; ponieważ kilku ludzi naszych, z marszu do wsi na boku leżącéj po żywność wysłanych, nie wróciło. Po żółniersku klęliśmy głód, który nam dokuczał, i spoglądali raz poraz na szczęśliwszą cesarską kuchnią: w tem powstaje od ognia żołnierz z piechoty i odzywa się do mego sąsiada, podobno zwierzchnika swego: „Panie porucniku, my te synecki zwędzim; tylko panowie niech kucharza wezmą w obroty.“ Zrozumieli go wszyscy i swoi i obcy, tak giest jego i twarz, chociaż chustkami obwiązana, były wydatne; bo głód czyni wymownym i dodaje przebiegłości, na któréj zresztą piechurowi naszemu, co się pod karabinem zestarzał, nie zbywało. Wziąwszy topor od sapera, oddalił się, a kilku z nas zbliżyło się go kuchmistrza, dla zagajenia z nim rozmowy: jeden wodeczką poczęstował, drudzy skarzyli się na tęgość mrozu, czemu on, przypijając, częstemi przeklęstwy kraju tamtego potakiwał. Tymczasem wiarus nasz uciąwszy dwie porządne szynki z konia zmarzłego, zawinął w szmatę białą, czyli też w chustkę podobno od nosa, schował pod płaszcz i tak idąc mimo kotła cesarskiego, od którego kuchmistrz był odwrócony, w mgnieniu oka wrzucił do niego końskie, a natomiast wyciągnął z wrzącéj już wody owe dwie szyneczki wieprzowe. Niepuścił ich z ręki mocno oparzonéj; lecz tuląc pod poły płaszcza z dobrą miną wrócił do naszego ognia. Rozeszliśmy się od kucharza, i widzieli, smacznie zajadając kolacyą, nie dla nas sporządzoną, jak ten raz poraz nożem kłuł szynki, aby widzieć, czy się już dogotowały; nareszcie zdziwiony nieustającą ich twardością, porywa je z kotła, poznaje zamianę i krzyczy co gardła. Sto milionów d ... skradziono mi szynki! skraść! co za zuchwalstwo!.... Daremne krzyki, daremne poszukiwania w nocnym nieładzie. Niewiedzieć co tam zastawił panu swemu na wieczerzę; szynek nie znalazł, tylko budząc się o świcie, ujrzał w popiele przed sobą, kości z nich czysto obgryzione.

***

Stefan Czarniecki.

(Wyjątek z niewydanego poematu.)

Obraz hord tatarskich za panowania Jana Kazimierza w Polsce, i opisanie walki Czarnieckiego z Tatarem.

Najpotężniejszy z władzców Tamerlana kraju,
Pan Krymu, Perekopu, Budziaku, Nagaju,
Islam Gierej, chcąc wsławić córki zaślubiny,
Hordy na Oczakowskie powołał równiny,
Obwieścił w koczowiskach, obwieścił w obozach,
Zapasy i gonitwy konne i na wozach.
Zaledwie odgłos trącił Kaukazkie szczyty,
Zagrzmiała przestrzeń ziemi końskiemi kopyty.
Jak szarańcza ruszona od Azyi krawędzi,
Lub chmury, gdy je wicher z otchłań morskich pędzi,
Z stepów, które Dniepr, Wolga, Don i Jaik dzieli,
Od Meotyckich głębin, kaspijskich topieli,
Od Hemu, od Tauru, brzegów Euxynu,
Ruszył się tłum, jak mrowie, mongolskiego gminu.
Szczęk mieczy, gwary dziczy, rżenie bystrych koni,
Zagłusza szumy wichrów i ryk morskich toni;
Tuman pyłu i z cięciw wypuszczone strzały,
Zaćmiły światło słońca i dzień przygasł biały.
A skoro Szatry, plemie rozbojcze osiadło,
Zdało się, że z powietrza miasto na dół spadło,
Że wstał Pekin, lub Stambuł rozciąga Bazary,
A co kiedy posiadał świat nowy i stary,
Co ładował na morza, czem ozdabiał lądy,
To na grzbietach dźwigają konie i wielbłądy.
Znalazłbyś tu wtroczone Delfickie trójnogi,
Emfezu i Memfisu z drogich kruszców Bogi,
Szczątki zgruchotanego tronu Ekbatany,
I czary Mitrydata i Partów kołczany;
Jasne Tyru szkarłaty, koryntyjskie spiże,
Księżyce Mahometa, Konstantyna krzyże,
Orły, pierścienie rzymskie, germańskie koncerze,
Słowiańskie roztruchany, szable i pancerze,
Sprzęty Chin i Japonu w szklnące zdobne farby,
I więzionego w klatce Bajazeta skarby.
Wszystkie pamiątki zgasłych wieków i narodów,
Tylu plemion zgładzonych, obalonych grodów
Drogie zabytki w kunsztach, dostatkach i sztukach
I koleją rozboju, dzieje bogactw w jukach.
Jedna tu wiara, jedna chuć krwawych zdobyczy,
Ale ile hord różnych, tyle różnéj dziczy.
Wszystkich okropne lica, a srogość zwierzęca;
Jednym się wąs szczecisty w grube kudły skręca;
Tym czarne, a tym rude włosy strzępią brodę,
Oczy drobne, nos płaski mają za urodę,
Wargi obwisłe, uszy opadłe na szatę;
U jednych wiszą z barków kubraki kosmate,
Innym siermięgi z pilśni bydląt kryją boki,
Lub skóry z trzód Bukarskich, nieoschłe z posoki.
Na głowach sterczą kozie kołpaki do góry,
Lisie i wilcze czapki, z kroju jak kaptury.
Broń u nich krzywe miecze, noże, samopały,
I w sajdakach zatrute jadem gadów strzały.
W dłoniach ostrzem sterczące na powietrze spisy,
Na ich drzewach krwią ludzką kreślone napisy;
Czaszki z głów więźniów zdarte, piersi, biodra stroją,
Z nich się, jakby nektarem, mlekiem klaczy poją.
Karmią się mięsem źrebców, — paszcze brudne, krwawe
Chłoną potem ich kulbak przewarzoną strawę!
Tranem ryb maszczą barki, obuwie i czoła,
A cuchnący ich oddech zabija do koła.
Genewski filozofie, w twem sennem marzeniu,
Takiegoś życzył szczęścia ludzkiemu plemieniu;
Takiego społeczeństwa pragniecie korzyści,
Zagorzali w naukach waszych Symoniści!
Wznosiły się na wyższem miejscu dwa namioty,
Na każdym dach szkarłatny, na nim księżyc złoty;
W jednym Han siedział, władzy okryty znamiony,
W drugim pod strażą Murzów stał koń ulubiony;
Z perłowéj czary pijał, w złotym żłobie jadał,
Sam go Gieréj pasł ryżem i sam go dosiadał.
Wyszedł przed namiot Gieréj i spojrzał na tłumy
A w uczuciu potęgi i w zapale dumy,
Rzekł: niech tu jeńców wszystkich przywiodą narodów,
Niech ujrzą mą potęgę i wspaniałość godów;
Niech się mych gromów ziemia zalęknie daleka,
Już wie świat, czego doznał, niech wie, co go czeka!
W liczbie więźniów strzeżonych przez dzikie Tatary,
Stały smutne Korsunia, Żółtych wód ofiary.
Po zwycięztwie bezbożny Bogdan, zdradny w wierze,
Zaprzedał je Hanowi i kupił przymierze;
Na czele, bez buławy, stał hetman sędziwy
Potocki, równie ojciec jak wódz nieszczęśliwy;
Kalinowski na ciosy zachowany krwawe,
Bodajby był nie sięgnął nigdy po buławę.
Stał Szemberg i Sapieha, dwa zaszczyty Litwy,
Sieniawski, co go wprawiał Chodkiewicz do bitwy,
Kazanowski, zapaśnik dzikich hord od młodu,
I Sobieski z groźnego Bisurmanom rodu;
W tym tak świetnym orszaku, Czarniecki za nimi,
Piersi jego żal wzdyma, wzrok wryty ku ziemi;
Nie tyle mu dolęga niewola i rana,
Ile klęski ojczyzny i ta groźba Hana.
Był Murza przy Giereju, Achmed mu na imie,
Postać jego olbrzymia i siły olbrzymie:
Wzrok jego groźny, czarna brew zachmurza włosem;
Ten, gdy trąby zagrzmiały, strasznym krzyknął głosem:
»Kto jest, co śmierci szuka, niech się zemną zmierzy!«
I kręcąc ostrą włócznią wyzywał rycerzy.
A który wstąpił w szranki, zaraz na pół płatał,
Włócznią strącał z rumaka, mieczem głowy zmiatał.
Ten, gdy mu już nie stało z dziczy zapaśnika,
Martwym trupom urąga i tryumf wykrzyka,
I spieszy do Giereja po dary i wieńce.
W tem spostrzegłszy na stronie w więzach Polskie jeńce,
Z uśmiechem rzekł szyderczym: Może który z Lachów
Zechce teraz doświadczyć méj broni zamachów!«
»Wróć broń i wolność, krzyknął Czarniecki w zapale,
»A ja cię jednem cięciem na ziemię obalę!«

(Koniec nastąpi.)

J. Kraszewski.

Już czytelnicy Przyjaciela Ludu czytali nieraz z wielką przyjemnością i w naszem pismie

i w innych, artykuły J. Kraszewskiego; spodziewamy się zatem, że ich zajmą rysy pisarza, który w obecnéj chwili do najpłodniejszych należy. Obrazek nasz wyjęty z *Poezyi tegoż autora, wyszłych w Wilnie r. 1838 w 2 tomach,* o których już różne pisma czasowe wzmiankowały. Pan Kraszewski urodził się 26. Lipca 1812 r. ma więc teraz lat 26; przecież już tyle napisał! a jak pisze!



J. Kraszewski.

List Bonapartego do aktora Talmy.

Pewne pismo peryodyczne ogłosiło jeden jeszcze niewydrukowany list Napoleona do Talmy, pisany wkrótce po zdobyciu Toulonu: „Drogi mój Talmo! Biłem się jak lew za Rplitą, a ona mnie głodem morzy. Już są wyczerpane wszystkie zapasy. Ten nędzny człowiek Aubry (ówczasowy minister wojny) zostawił mnie tutaj na bruku: zdaje się, że zupełnie o nas zapomniał; a mógłby przecie co ze mnie zrobić. Czuję w sobie siłę, że potrafię wysadzić generałów *Santerre i Rosignol,* a nie mają kącika w Wandei, gdzieby mnie posłać? Ty jesteś szczęśliwszy odemnie: twe powołanie od ciebie zawisło. Dwie godziny występujesz na deskach przed publicznością, i odnosisz oklaski i zasłużone wieńce. My wojskowi na większą występujemy scenę, któréj nam nie zawsze pozwalają. Nie żałuj, żeś jest aktorem! zostań przy teatrze! kto wie, czy mi się uda kiedykolwiek wystąpić na nową scenę. Wczoraj widziałem Mouwella (był to aktor i poeta teatralny). Cóż to za wyborny człowiek. Barras łudzi mnie pięknemi nadziejami! ale czy ich dotrzyma? Wątpię! Tymczasem niemam już ani szeląga. Jeżeli masz z kilka talarów, przyślij: przyjmę z wdzięcznością i zahipotekuję na nowem królestwie, które zdobędę mocą mego oręża. Przyjacielu! jak szczęśliwi byli bohaterowie Aryosta, że nie zależeli od ministra. Bywaj zdrów i kochaj mnie. *Bounaparte.*

Przysłowia węgierskie.

Że Węgrzyni kochają swój kraj namiętnie, przekładając go nad wszystkie inne, dowodzi ich łacińskie przysłowie:

Extra Ungariam non est vita:
Si est vita?
Non est ita.
Oj! każdy zgodzi się z nami:
Nie masz życia za Węgrami.
Jest li jakie?
To nie takie. —

A swe krajowe wino że lubią! i na to znów mają przysłowie: *Non est cibus, nisi caro, non est potus, nisi vinum, non est vinum, nisi ungaricum.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)